

Jerzy Jarzębski

Polonistyka : przepis na przetrwanie

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (35), 1-4

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

5
1995

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Polonistyka — przepis na przetrwanie

Za młodu ani przez chwilę nie chciałem być polonistą. Dyscyplina ta zdawała mi się czymś nieuleczalnie szkolnym: jakieś odpytywanie z fabuł powieści („ile garnców sadła wypił stary Maćko z Bogdańca, aby się od grotu wrażego wyleczyć?”), jakieś stopy zeszytów z klasówkami na temat „nieprzemijających wartości literatury renesansu (oświecenia, romantyzmu itd.)”. Brrr... nie! Jakoś jednak na polonistykę trafiłem — trochę z lenistwa (łatwiej się było dostać), trochę z przypadku; cały czas jednak z zamiarem przeskoczenia na inny kierunek — filozofię? reżyserię? — jeśli tylko będzie to możliwe. Gdy jednak pod koniec studiów stanął przede mną w istocie dylemat: filozofia czy polonistyka? — wybrałem tę ostatnią. Dlaczego? Wszedłem już wtedy głębiej w literaturoznawstwo uniwersyteckie i odkryłem z nie-małym zaskoczeniem, jak jest odmienne od nauki szkolnej. Stąd poszło przeświadczenie, że w polonistyce „więcej się dzieje”, jest żywsza, silniej związana z moim codziennym doświadczeniem, że filozofia jest w niej zawarta — a wraz z nią psychologia, historia, językoznawstwo, polityka... — cały wachlarz dziedzin, no, cały świat po prostu.

Rozkosze, jakie oferowała tamta akademicka polonistyka mieszkającym komunistycznego państwa były rozmaite. Przede wszystkim była nauką z natury rzeczy bliską narodowej tradycji — i to w jej postaci mniej niż gdzie indziej zafalszowanej: ostatecznie polonista musiał czytać autentyczne teksty literackie z różnych epok, a dostęp do nich miał nieco lepszy niż przeciętni obywatele, których cenzura, kontrole

celne i polityka wydawnicza skutecznie pozbawiały szans dotarcia do prawdy o przeszłości. Co więcej, owe teksty, jak mi się dziś wydaje, mniej były podatne na manipulację niż fakty historyczne. Ostatecznie trudno odcedzić z utworów literackich ożywiająca je emocję, trudno wyprać je z wartościujących nastawień, jakie zawdzięczamy żywej obecności autora. Oddziałuje on na czytelnika sugestywnie, niejako całością swej zakłętej w dzieło osobowości, wygrywając mocą talentu i bezpośredniością przekazywanych doświadczeń z tymi, którzy zechcą go zagłuszyć czy zakłamać.

Polonista był zatem bardziej niż inni w „centrum polskości”, ale niekoniecznie rozumianej historycznie. Uprawiana dyscyplina łączyła studia nad dziejami ze współczesnością, przerzucała most ponad dystansem czasu i pozwalała asystować przy wytwarzaniu (a także ukrywaniu przed cenzorem) sensów aktualnych. No cóż, zapewne lepiej niż inni władaliśmy „tajemnymi językami”, jakimi twórcy próbowali przekazywać prawdę o rzeczywistości, a zarazem wiedzieliśmy, w jaki sposób te języki nakładają się z jednej strony na mowę tradycji, z drugiej — na język politycznego konformizmu czy intelektualnej mody. W państwie, w którym język pełnił rozmaite rytualne funkcje i poddany był z natury rzeczy z jednej strony restrykcjom, z drugiej — sakralizacji, bycie (szeroko pojmowanym) „specjalistą od języka” zapewniało swoistą przewagę nad tymi wszystkimi, którzy nie do końca pojmowali skomplikowany szyfr swoich czasów. Polonista, krytyk literacki był zarazem blisko literatury, pełnił w społeczeństwie funkcje szczególne: z jednej strony bliskiej ołtarza władzy, z drugiej — nocnych rozmów rodaków.

A przecież polonistyka to nie tylko sprawy polityczne czy narodowe. W jej uczonym języku i metodologii odbijały się szczególnie mocno intelektualne przygody drugiej połowy wieku. Wzloty i upadki marksizmu, strukturalizmu, semiotyki, hermeneutyki, dekonstrukcjonizmu, czyli to wszystko, co w sposób najbardziej bezpośredni kształtowało polonistyczny dyskurs, decydowały jednocześnie o historii współczesnej myśli. Rewolucje intelektualne i światopoglądowe ostatnich dziesięcioleci rozgrywały się szczególnie blisko spraw języka, narracji, literatury — tak jakby tam najłatwiej objawiało się wielkie marzenie dwudziestego wieku: znaleźć sposób na ścisłe ujmowanie tego, co wszelkiej rygorystycznej naukowości się wymyka: spraw myślenia, twórczości, piękna czy światopoglądu, całej, jednym słowem, humanistyki. W ten sposób polonista

znajdował furtkę, przez którą mógł zawsze umknąć szkolarnstwu; jeśli tylko chciał, rzecz jasna, i jeśli stać go było na podjęcie trudu przekraczającego przeciętną miarę — bo problemy, przed jakimi stawiała polonistyka swych ambitniejszych adeptów zaiste nie należały do najłatwiejszych. W rezultacie ta dyscyplina — skuteczniej niż wiele innych — wytwarzała wśród swoich adeptów naturalną hierarchię. I nie było takich wysiłków ze strony władz, które mogłyby tę hierarchię (z pomocą wstrzymywania lub udzielania hojną ręką awansów i stanowisk) sfalszować.

Miało to także swoje skutki doraźne na polu walki z cenzurą: polonistyczni koryfeusze lubią dziś wspominać, jak z pomocą odpowiednio ezoterycznego języka byli w stanie wyrazić a nawet opublikować tezy, które nigdy nie przedarłyby się przez polityczną kontrolę bez maskującego kostiumu naukowości. Bodaj ważniejsze było jednak stworzenie środowiska, grupy mistrzów i adeptów umiejących posługiwać się uczonym kodem, a przy tym rozumiejących i akceptujących obowiązujące w tym gronie systemy wartości — etyczne i estetyczne. Jeśli nawet pewne sądy wypowiedziano szyfrem i w atmosferze obłożonej twierdzy, to sam fakt wypowiedzenia ich publicznie miał swoje znaczenie: dodawał otuchy i wzmagał niepodległość ducha.

Była więc polonistyka namiastką rzeczywistości, osobliwą wersją jaskini Platona, na której ścianach odbicie światła miało żywsze kolory niż „oryginał” bytujący na zewnątrz — żywsze, bo wzbogacone o rezonans historii, tradycji, mitu, o wszystkie te konteksty, których nie dostrzegamy często, obcując z szarością potocznych zdarzeń. Wytwarzała też polonistyka krąg wtajemniczonych, miała swoje „salony”, swoich bohaterów i męczenników, postacie sławne anegdotami, środowiskową legendę. Stanowczo, nie było źle być polonistą w minionych dziesięcioleciach.

Tegoroczny warszawski Zjazd Polonistów zwołano chyba po to, by podsumować i zamknąć tamtą bohaterską epokę. Z polonistyką dzieje się bowiem to samo, co z literaturą: wyzbywa się swych szczególnych uprawnień i prerogatyw, ulatuje z niej duch sprzysiężenia i kontestacji. Nie będzie już polonistyka azylem, miejscem, w którym można obcować z rzeczywistością „lepszą niż ta na zewnątrz”. Będzie, i owszem, nasłuchiwać ech przeszłości, ale już nie po to, by zaprzeczyć chwili obecnej, będzie gromadzić wokół siebie ludzi — ale już nie po to, by uczyć ich „języka tajemnicy”. Będzie — o zgrozo! — jedną z wielu dyscyplin

uniwersyteckich i jednym z wielu szkolnych przedmiotów. Więc — witaj, szkoło? Witaj liczenie garnców sadła? Polonistyka ambitna — ta, która otworzyła niedawno bramy swej oblężonej twierdzy — ma dziś przed sobą zadanie karkołomnie trudne, choć znacznie mniej niż wprzódę efektowne: musi wrócić do szkoły niosąc z sobą to wszystko, czego nauczyła się w swych ezoterycznych kręgach minionego półwiecza, ale musi uczynić to, nie sprzeniewierzając się duchowi współczesności, musi, jednym słowem, zrobić użytek ze swej lepszej pamięci i lepszej wiedzy o przeszłości — a jednocześnie ustrzec się przed kombatanctwem, przed zatopieniem w tym, co minione. Winna więc polonistka zrewidować swe kanony, ułożyć je w nowy wzór, ale zarazem nie wolno jej paść na kolana ani przed polityką, ani przed bóstwem popularnych gustów i wyrzec się hierarchii trwalszych niż sezonowa moda. To nie akademickie teoretyzowanie: spory wokół sprawy nowego kanonu wybuchnęły ledwie się zjazd rozpoczął.

Polonistyka, aby odnaleźć się w dzisiejszej szkole, musi się rozumnie zmienić, przeorientować, dostosować do nowych czasów, przeczytać na nowo, inaczej to, co jest od tylu dziesięcioleci przedmiotem jej studiów — literaturę polską. Inaczej skaże się na byt marginesowy i klepanie tych samych formuł w coraz większej izolacji od życia. Resztki tych odwiecznych skamielin odnajdują co chwila w zeszytach moich dzieci. Jeśli więc kanon — to nie tylko skonstruowany na nowych zasadach, ale też na nowo, w inny niż dotąd sposób odczytany, skonfrontowany z innym systemem kryteriów, z inną wrażliwością, z nowymi potrzebami i pytaniami, które dziś przed nami stoją. Dzieła pierwszej kategorii z pewnością taką lekturę zniosą. Muszą (i to może będzie trudniejsze) znieść taką zmianę orientacji również poloniści — nauczyciele młodzieży. Jeśli tego nie zrobią — pozostanie liczyć garnce sadła, co jest zajęciem równie miłym, jak liczenie owiec — i do tych samych skutków prowadzi.

Jerzy Jarzębski